

POŻEGNANIA

A statek płynie



MARIA KORNATOWSKA
(1935-2011)

ŁUKASZ MACIEJEWSKI

Nie ma końca. Nie ma początku. Jest tylko niezaspokojona pasja życia.

Federico Fellini

Ten jest dobrym krytykiem, kto opowiada o przygodzie swej duszy w zetknięciu z arcydziełami – pisał Anatol France. Dla Marii Kornatowskiej filmowe arcydzieła były codziennością, życie obok kina – pasjonującą przygodą.

1.

W opuszczonym, łódzkim mieszkaniu autorki *Rozmyślań przy makijażu* pozostały stosy nieuporządkowanych papierów i książek, szkatułki z biżuterią, markowe perfumy oraz listy pisane do Pani Marii przez Antonioniego, Felliniego, Monikę Vitti. Oni także musieli ulec jej czarowi.

Kornatowska, uprawiając profesję krytyka filmowego, była artystką. Poza erudycją, gigantycznym dorobkiem literackim, posiadała także trudno definiowalną

cechę charakteru, którą zazwyczaj określamy jako charyzmę. *Marysia fruwała po korytarzach uczelni jak motyl* – mówił w dniu pogrzebu Kornatowskiej Robert Gliński, rektor „Filmówki”.

Jestem przekonany, a kilka razy miałem okazję sprawdzić to empirycznie, że gdyby na zatłoczonej ulicy Maria Kornatowska pojawiła się w asyście kilkorga kolorowo ubranych osób, mimo wszystko dziewięćdziesiąt procent przechodniów patrzyłoby wyłącznie na Nią. Nie da się ukryć – wszyscy szarzeliliśmy na jej tle.

Władająca biele kilmoma językami, znająca Nowy Jork niemal równie dobrze jak Łódź – była obywatelką świata, co znajdowało odbicie w jej krytycznej refleksji. Kornatowska nie powtarzała utartych formułek. Jej analizy arcydzieł Hasa, Viscontiego czy Pasoliniego prowadziły czytelnika fascynującymi ścieżkami, w których było miejsce zarówno na pogłębioną refleksję filozoficzną i antropologiczną, jak i odwagę własnych, niepodległych intuicji.

Kornatowska prezentowała bowiem z wolna wymierający gatunek krytyka, dla którego wiedza *stricte* filmowa jest niewystarczająca. Znała się na literaturze, muzyce, sztukach plastycznych i teatrze. Niemał każdy film umieszczała w szerszym kontekście intelektualnym, budowała zadziwiająco korelacje znaczeniowe. W kinie Wajdy przeglądał się teatr Jana Klaty, a w aberracyjnym chińskim filmie obejrzanym podczas Nowojorskiego Festiwalu Filmowego Kornatowska odkrywała analogie z malarstwem Gustave’a Courbeta. Kino było dla niej księgą, która zawsze jest otwarta tylko w połowie.

Wymowna pod tym kątem jest ostatnia publikacja książkowa Marii Kornatowskiej, wydany w 2007 r. tom felietonów zatytułowany *Rozmyślenia przy makijażu*. Nowojorskie opowieści Kornatowskiej przypominają literackie pasażer Mellville’a (Manhattan), Poego (Bronx) czy Whitmana (Brooklyn). Zapis konkretnych wrażeń i fascynacji, obiektywnych prawd i realnych twarzy w ujęciu autorki subiektywizuje się i zyskuje oryginalną osobowość. Kornatowska łączyła bowiem w pisarstwie swobodę dezynwolturę i rozwiąłość języka (liczne neologizmy, amerykańizmy, także miejski slang) z powściągliwością (przemyślana konstrukcja tekstu, kunsztowne kadencje zdaniowe), literacko scalając rygoryzm prozy i rozpasanie poezji.

Te cechy odnajdziemy we wszystkich publikacjach jej autorstwa: wywiadzie z Agnieszką Holland (tom *Magia i pieniądze*, 2002), *Erosie i filmie* (1986), *Wodzirejach i amatorach* (1990), *Filmach o miłości* (1975) czy *Monice Vitti* (1977). Jednak najważniejszą pozycją w dorobku Marii Kornatowskiej była z pewnością wielokrotnie wznawiana i uzupełniania monografia Federica Felliniego (pierwsze wydanie: 1972). Autorka, znająca twórczość Felliniego na wylot, przeprowadzała czytelnika po świecie jego kina niczym zakochana Alicja w Krainie Czarów. Było w tej podróży miejsce na iluminację i zachwyt, ale także niepokojące znaki zapytania i odważne, brawurowe interpretacje. Po drugiej stronie lustra Marii Kornatowskiej wszystko mogło się wydarzyć.

Współpracowała z wieloma redakcjami. Jej eseje, felietony, analizy, reportaże i wywiady znajdziemy na łamach m.in. nowojorskiego „Nowego Dziennika” i „Przeglądu Polskiego”, „Tygodnika Powszechnego”, „Filmu”, „Foyer”, „Przekroju”, „Gazety Wyborczej” i „Kina”. Od 1962 r. Maria Kornatowska była związana z „Kwartalnikiem Filmowym”. Na naszych łamach pisała m.in. o teorii filmu (fascynujący szkic o André Bazinie) i krytyce filmowej. W 1994 r. przeprowadziła obszerny wywiad z Witoldem Sobocińskim. W „Kwartalniku Filmowym” publi-

kowała także szkice poświęcone jej ukochanym reżyserom – na przykład Federico Felliniemu (*Ciao Federico!*, nr 5, 1994), analizowała filmowe arcydzieła (szkice o *Złodziejach rowerów* Vittoria de Siki, nr 12, 1995), wreszcie przez trzy lata, w połowie lat 90. ubiegłego wieku, prowadziła pasjonujący *Dziennik nowojorski*.

2.

Nie znosiła patosu, egzaltacji, pustosłowia. Poczucie humoru Kornatowskiej wywodziło się raczej z estetyki inteligenckiego „New Yorkera” niż krajowych kabaretonów. Otwarta, pogodna, zawsze uśmiechnięta, pozostawała jednak postacią tajemniczą. Uwielbiała plotki i anegdoty, ale sama nie lubiła się zwierzać. W gruncie rzeczy niewiele wiedzieliśmy na jej temat. Otoczona wianuszkami przyjaciół i znajomych, była chyba osobą samotną. W tym kontekście poruszająca wydaje się decyzja Pani Marii o rezygnacji z leczenia nowotworu. O okrutnej diagnozie lekarskiej dowiedziała się kilka miesięcy przed śmiercią. Nie zgodziła się na szpital, lekarstwa, chemioterapię. Była w tej wstrząsającej decyzji zadziwiająco odważna i bezkompromisowa.

Najpierw, przez wiele lat, Kornatowska nie chciała się zestarzeć – jak wielkie gwiazdy Hollywoodu, mitologizowała prawdziwy wiek. Następnie nie dopuściła, żebyśmy oglądali ją chorą i przygnębną, po wyniszczającej kuracji. Wołała umrzeć.

Trzeba przyznać, że tę ostatnią, przeraźliwie trudną rolę zagrała z wirtuozerią. Do samego końca żyła tak, jak chciała. Jeździła na festiwale, czarowała w wywiadach telewizyjnych, pisała felietony. O tym, że jest ciężko chora, wiedziało zaledwie kilka osób, cała reszta swoim zwyczajem pisała do Pani Marii listy, telefonowała albo umawiała się na kolejne spotkanie – za tydzień, za miesiąc, za rok. I Kornatowska, charakterystycznym tembrem, z przedłużającym się *vibrato*, wszystko potwierdzała. W e-mailu napisanym do mnie dwa tygodnie przed śmiercią wspominała, że jesienią znowu rusza do Nowego Jorku, komentowała nowości kinowe.

Listów, a raczej e-maili od Pani Marii uzbierało się przez lata naszej znajomości pewnie kilkaset. Była moim mentorem. Stale utwierdzała mnie w słuszności pisania w liczbie pojedynczej, wkomponowywania w tekst filmoznawczy prywatnych skojarzeń, przestrzegania przed zasłanianiem się gardą przypisów i pseudonaukowym belkotem. Żałuję, że nie będzie dalszego ciągu tej korespondencji. Że nie zobaczę charakterystycznego parasola Pani Marii z bambusową laską, pantofelków z wężowej skóry – obowiązkowo na wysokich obcasach, oryginalnych pierścionków-*monstre*. Nie spotkamy się na kolacji u Basi i Mariusza Grzegorzaków, którzy tak wspaniale, z pełnym poświęceniem, opiekowali się Marią Kornatowską w ostatnich, dramatycznych miesiącach jej życia. To już finał.

Poznaliśmy się wiele lat temu, na pierwszej edycji festiwalu „Kino na Granicy” w Cieszynie. W większym towarzystwie znaleźliśmy się wówczas w barokowym wnętrzu cieszyńskiego teatru. Piliśmy absynt – zakazany napój poetów, bogów paryskiej bohemy. Chciałbym wierzyć, że Maria Kornatowska znowu wznosi toast absyntem. Jest w towarzystwie oczarowanych jej obecnością Rimbauda, Verlaine’a, Viscontiego i Felliniego. I uśmiecha się. Jest szczęśliwa.

ŁUKASZ MACIEJEWSKI